

Ewa Anna Sosnowska

Kroniki Lenny'ego

TOM II

Grecja



Ewa Anna Sosnowska

Kroniki Lenny'ego
tom II
Grecja

© Ewa Anna Sosnowska

© e-bookowo

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody autorki oraz wydawnictwa.

ISBN 978-83-964806-8-2

Korekta i redakcja: Dominika Kamyszek

www.opiekunkaslowa.pl

Zdjęcie z okładki: www.canva.com

Strona autorki:

[facebook.com/EwaSosnowska.StronaAutorska](https://www.facebook.com/EwaSosnowska.StronaAutorska)

https://www.instagram.com/ewasosnowska_autorka/

kontakt: sosnewa@pisz.to

Wydanie drugie, poprawione i rozszerzone

Prawie wszystkie miejsca, postaci i sytuacje są w stu procentach fikcyjne. Jakakolwiek zbieżność z rzeczywistością jest zupełnie przypadkowa i (nie)zamierzona...

W „prawie” mieszczą się indywidualne prośby pierwowzorów postaci.

Od Autorki

„Grecja”, tak samo jak i „Majka”, tak właściwie nie potrzebowała zmian, ale postanowiłam dopasować tę historię do poprzednich książek.

Zarówno w pierwszym, jak i drugim wydaniu widać, że w pełni puściłam wodze wyobraźni...

Tak samo jak w „Syberii”, nie mogłam pominąć opisów miejsc akcji, ale są to bardzo luźne wariacje na temat tego, co stanowiło pierwowzór, cały czas bowiem korzystam z map, przewodników i innych pomocy technicznych tylko w celu znalezienia inspiracji.

Dotyczy to również greckiej mitologii, której w powieści jest dość dużo, ale jest to moja prywatna wersja. Nie doszukujcie się więc ewentualnych błędów, wszystkie bowiem zostały „popelnione” z pełną premedytacją...

Ogólnie rzecz ujmując:

– kalendarz jest taki sam jak w serii „Maja” i cały czas pomijam wszelkie święta ruchome. Ważne są miesiące i dni tygodnia, a reszta to pełna improwizacja;

– cały świat, w którym toczy się akcja książki, jest wyspany z palca (i to nie jednego);

– daty i fakty historyczne, geograficzne oraz parę innych drobiazgów zmodyfikowałam na potrzeby powieści. Dlatego też uparcie nie wymieniam konkretnych miast;

– Asia w co najmniej jednej sprawie jest niewyuczalna, więc musiałam to jakoś uzasadnić. O co dokładnie chodzi, tego dowiedzie się z książki, a wyjaśnienie nadejdzie we właściwym momencie...

Tu wszystko zaczyna się w połowie października dwa tysiące dziesiątego roku, gdy Asia i Paweł szykują się do wyjazdu na rajd.

– Kochanie, o czym myślisz? – zagadnąłem Asię, która zamiast pakować się do wyjazdu do cioci, zastygła w bezruchu.

– Nic takiego – odezwała się po kilku sekundach. – Przypomniał mi się wieczór paniński Oli i to, jak jej się film urwał.

– Jak to urwał? – zapytałem. – Przecież ona jest w ciąży!

– Nie było alkoholu, a padła, bo urządziłyśmy jej niezły... hmm... poligon.

– Co masz na myśli? – dopytywałem.

– Poligon doświadczalny. Szczegółów ci nie zdradzę – zastrzegła. – Wystarczy, że będziesz wiedział, że jako motyw przewodni wykorzystaliśmy wątek z powieści. Konkretnie odwzorowałyśmy wieczór paniński Elżbiety. Przywieźliśmy wystarczająco dużo informacji od rodziny pierwowzorów, by móc zorganizować coś podobnego.

– Rozumiem... chyba.

– Co tu jest do rozumienia? – zdziwiła się moja żona. Westchnęła i z łobuzerskim uśmiechem pogroziła mi palcem.

– Może i nic takiego, ale czy naprawdę wtedy wieczory panińskie były aż tak wyczerpujące? – drażyłem temat.

– Nie powiem – oznajmiła ze śmiechem. – Widocznie tak, skoro Ola chwilę po dwudziestej trzeciej położyła się na chwilę na śpiworach w indiańskiej wiosce i zasnęła jak kamień.

– To dlatego znalazłem cię w sianie – wykrztusiłem, z trudem zachowując powagę.

– Ja nie spałam – zaprotestowała. Odłożyła to, co trzymała w rękach, i włądowała mi się na kolana.

– Nic takiego nie powiedziałem. Po co tam poszłaś?

– Tajemnica – wyszeptwała, kradnąc całusa.

– Ja ci dam tajemnicę – zażartowałem.

– Wolałabym, byś dał mi coś innego – oznajmiła z niewinną miną.

– Co byś chciała?

– Pozwolenie na zrobienie demolki w mieszkaniu.

– Co to, to nie – zaprotestowałem stanowczo. – Wystarczy mi twojego szaleństwa w maju. Na cholere brałaś się sama za mierzenie?

– Miałam laserową miarkę.

– Zapytam inaczej. Na cholere nawet z tą laserową miarką pchałaś się pod sufit? I to bez mojej asekuracji – uściśliłem, zgrzytając zębami.

– Przecież nic się nie stało – broniła się cicho, wyginając usta w podkówkę.

– Można to i tak ująć... – Ta mina spowodowała, że szybko, acz niechętnie, przyznałem jej rację, choć mój protest, poza obawą o bezpieczeństwo żony, miał inne podstawy. – Ale i tak nie powinnaś się narażać – dodałem stanowczym głosem.

– Dobrze, już dobrze – poddała się z ciężkim westchnieniem. – Na papierze mogę projektować?

– Na papierze tak – przyzwoliłem. – W wolnej chwili poszukam planów, które dostałem razem z aktem notarialnym – obiecałem. – A teraz złaź. Musimy się spakować.

– Właśnie to robiłam, gdy mnie zagadałeś.

– Według twoich słów nie pakowałaś się, ale wspominałaś. Patrzyłem na ciebie przez dłuższą chwilę i nawet nie drgnęłaś.

– Czepiasz się, skarbie – prychnęła i wstała. – Otworzysz? – spytała, podając mi słoik z grzybkami w occie.

Przytaknąłem i po chwili razem z otwartym już słoikiem podałem jej widelczyk.

– Panienko Jadwigo, proszę uważać – z zamyślenia wyrwał mnie głos guwernantki.

– Przepraszam, panno Ewelino. Postaram się – odezwałam się spłoszona.

Rodzice nie byłiby zadowoleni z mojego bujania w obłokach, ale panna Ewelina opowiadała o starożytnej Grecji i nie mogłam się powstrzymać, by sobie tego wszystkiego nie wyobrazić. Straciłam przy tym świat sprzed oczu.

– No dobrze, panienko Jadwigo, to proszę mi powiedzieć, o czym dzisiaj była mowa.

– O starożytnej Grecji – szepnęłam i dorzuciłam w myślach: „Chciałabym tam pojechać”.

– I co jeszcze? – drążyła temat.

– Nie wiem – wyznałam. – Przepraszam – dodałam.

– Ciociu, czyje to jest? – zapytałam, schodząc powoli ze strychu.

– Gdzie to znalazłaś? – odpowiedziała pytaniem.

– Na strychu, w skrzyni za regałem – wytłumaczyłam.

– To memuar, czyli pamiętnik mojej babci, po której otrzymałam imię – wyjaśniła gospodyni.

– Mogę go przeczytać?

– Oczywiście, dziecko, tylko ostrożnie.

– Ciociu... – powiedziałam z żartobliwym wyrzutem.

– Wiem, wiem. Nie muszę cię pouczać.

Usiadłam w fotelu, nie spodziewając się, że właśnie tu i teraz rozpocznę przygotowania do kolejnej wyprawy...

Kilka godzin oczekiwania na powrót Pawła z zawodów minęło mi nie wiadomo kiedy. Z trudem oderwałam się od lektury. Poza ciekawością tego, jak poszły dzisiejsze odcinki, do ruszenia się z miejsca zmusił mnie najzwyczajniejszy głód, a może raczej zachcianka...

– Siadajcie, dzieci, do stołu i opowiadajcie, co się u was wydarzyło od marca! – Z zadumy wyrwał mnie głos cioci, która widząc, że się rozglądam, z uśmiechem podała mi otwarty już nowy słoik grzybków w occie. Skinieniem głowy podziękowałam jej za domyślność.

– U nas tak właściwie nic nowego – stwierdziłam, po czym władowałam sobie pierwszego grzybka do ust.

– Asiu, nie kręć. Przecież widzę. – Ciocia z chochlikami w oczach pogroziła mi palcem. – Wpadaliście tu tylko kilka razy, i to jak po ogień.

– No dobrze – westchnął Lenny. – Przy pierwszej wizycie powiedzieliśmy ci o ślubie i ciąży, przy którejś kolejnej o książce-reportażu z naszej wyprawy...

– To była trzecia wizyta, w sierpniu. Przyjechaliśmy na dożynki i przy okazji odwiedziliśmy też panią Katarinę – wtrąciłam, gdy tylko przełknęłam. Nie wspomniałam jednak, że po drodze do Saszy zahaczyliśmy też o muzeum, by dowiedzieć się, jak potoczyły się losy spadochronu cichociemnego. Według kustosa, pana Stiepana, te „młodsze” nici zostały użyte przez osobę, która naprawiała sprzęt. W polowych warunkach wykorzystywało się to, co było pod ręką.

– No tak, a teraz skorzystaliśmy z okazji, że niedaleko stąd są zawody. Pomału trzeba będzie przystopować wycieczki. Do porodu niecałe trzy miesiące – stwierdził Paweł, gładząc mnie po brzuchu.

– Jak długo chcecie zostać?

– Kilka dni, o ile nie będziemy wam tutaj przeszkadzać – zastrzegłam.

– Wy? Nigdy. Dzięki wam to wszystko rozkwitło i...

– Ciociu... – przerwałam. – Chcieliśmy się jakoś odwdzięczyć za gościnę.

– Wtedy zrobiliście o wiele więcej. Sasza do tej pory dopytuje, kiedy ponownie przyjedziecie.

– Dziękujemy, chwilowo jednak zawiesimy podróżę.

– Rozumiem, nawet bym na was nakrzyczała, gdybyście planowali coś na najbliższe pół roku.

– Po porodzie dajemy sobie tydzień na adaptację do nowej sytuacji – powiedziałam, puściłam oczko do męża i oboje zaczęliśmy się śmiać.

– Z czego się śmiejecie? – zapytała ciocia z przerażeniem w oczach.

– To taki nasz żart. Nie bój się. Następna dłuższa wycieczka nie wcześniej niż późną wiosną lub nawet latem – wytłumaczył Paweł.

– Opowiedz coś, ciociu, o swojej babci. Pojechała do Grecji? – profilaktycznie zmieniałam temat.

– Pojechała. Z tego, co pamiętam, to trafiła na olimpiadę i przywiozła sobie narzeczonego.

– Jak romantycznie! – westchnęłam.

– Masz rację. Poczekajcie, może znajdę pozostałe pamiętniki, w tym ten z czasów jej podróży.

W salonie zostaliśmy sami i w głowie błysnęła mi myśl, by poszukać w Grecji śladów zarówno pierwszej nowożytnej, jak i tych starożytnych olimpiad.

– A dziecko? – wyrwało mi się na głos.

– Damy radę – powiedział Paweł, jakby czytając mi w myślach.

– Trzeba będzie na nowo umeblować Puskę – dodałam z uśmiechem.

– Jak cię znam, kochanie, to mechanicy zrobią wszystko, o co ich poprosisz. Już w styczniu, przy jednej z pierwszych wizyt, gdy omawialiśmy wyposażenie Puski, owinęłaś ich sobie wokół palca.

– Skąd wiesz?

– Pytają co jakiś czas o ciebie, a poza tym ostatnio o wiele chętniej spełniają też moje prośby.

– Znalazłam – przerwała naszą rozmowę ciocia. – I to nie tylko pamiętniki, ale również dagerotypy z tamtych lat. Obejrzyjcie je na spokojnie, a ja sprawdzę, co w muzeum.

I znowu zostaliśmy sami. Po jakimś czasie od oglądania zdjęć i wertowania memuarów oderwał nas głos pana Mateusza:

– Panie Pawle, mógłby pan podejść na moment?

– Oczywiście – odparł Lenny.

– Co się stało? – zapytałam, gdy mój mąż wrócił.

– Nic takiego. Pan Mateusz przywiózł dla nas prezent i list od Saszy i jego rodziny.

– Co jest w liście? – spytałam z ciekawioną.

– Zaraz sprawdzimy. Skarbie, posuń się trochę – poprosił Paweł.

Po tym, jak zrobiłam mężowi trochę miejsca koło siebie, zagłębiliśmy się w lekturze listu. To znaczy... ja tylko udawałam,

że czytam. Musiałam poczekać, aż cyrylica zostanie „przetłumaczona” na polski. Na szczęście nie musiałam czekać zbyt długo.

– Pani Katarina, a raczej Sasza, pisze, że w sierpniu nieco ich zaskoczyliśmy wizytą i nie zdążyli nam wręczyć prezentu. Teraz wiem, że nawet gdybyśmy się zapowiedzieli, i tak nie udałooby nam się zabrać tego ze sobą. Byliśmy tam przecież zwykłym samochodem – dopowiedział, choć doskonale to pamiętałam.

– Sądząc po twoich słowach, ten prezent nie należy do najmniejszych.

– Dobrze zgadujesz. Zresztą sama popatrz – dodał, pomagając mi wstać.

– O kurczę, ale śliczna kołyska! Czemu taka szeroka? I dlaczego na boku jest napis „cyc”?

– Niby gdzie?

– O tu. – Przytrzymując się męża, wskazałam nogą właściwe miejsce.

– Głuptasku, to nie „cyc”, tylko cyrylica. To, co przeczytałam jako „c”, to „s”.

– To znaczy, że Sasza się na tym podpisał?

– On albo ktoś inny. Nie znamy wszystkich białoruskich zwyczajów – przypomniał mi Paweł.

– A to „y” to co to za litera? – dopytywałam.

– Pierwsze skojarzenie to „u”, ale jest tyle ozdobników, że może to być coś innego. Później o tym pomyślę – obiecał. – Zawsze też można zapytać ciocię albo pana Mateusza.

– Dobry pomysł! – Przyklasnęłam, przeglądając równocześnie to, co było w koszu kołyski. – Patrz, tam jest więcej cyców. Jakieś koszulki, śliniaczki, kocyki...

– Możesz przestać? – rzucił żartobliwie Paweł. – Udało nam się powstrzymać nasze rodziny, to zostaliśmy zasypani przez ludzi nam obcych.

– Też prawda – westchnęłam. – Zostaliśmy zasypani cycami – dodałam i parsknęłam śmiechem.

Lenny mi zawtórował, a gdy się opanował, wrócił do mojego pytania o gabaryty kołyski:

– W mniejszej nie zmieściłoby się to wszystko, co dostaliśmy.

– To wtedy dostalibyśmy tego mniej albo byłoby więcej paczek.

– No to może na grubszy kocyk albo...

– Nie kończ. Chyba wiem, co masz na myśli – uciszyłam Pawła. – Dobrze, że przyjechaliśmy Puską i mamy z tyłu miejsce – dodałam po chwili. – W przeciwieństwie do miejsca w mieszkaniu – wykrztusiłam, powstrzymując kolejny atak głupawki.

– Masz rację. – Lenny krótko potwierdził wszystkie moje słowa i zanim zdążyłam pociągnąć temat lokalizacji kołyski, wyskoczył z pytaniem: – Jesteś zmęczona?

– Trochę, ale opowiadaj, jak tam rajd.

– Dobra, ale najpierw pójdiesz się położyć.

– Dobrze, dobrze – zgodziłam się.

– Za chwilę do ciebie przyjdę. Chcesz coś?

– Może kawałek ciasta i herbatę – poprosiłam.

Po jakimś kwadransie do pokoju wkroczyła ciocia Wisia z tacą zastawioną łąkociami, sokiem owocowym i herbatą oraz miseczką grzybków.

– Ciociu...

– Cicho, Asiu. Teraz musisz jeść za dwoje.

– Ciociu, nie za dwoje, tylko dla dwojga – sprostowałam.

– Jak zwał, tak zwał. Smacznego – dodała, postawiła tacę na stoliku i zanim zdążyłam ją zapytać o „cyca”, wyszła.

– Daj mi chwilę. Skoczę pod prysznic – powiedział Lenny, a ja kiwnęłam głową. Po wyjściu z łazienki zaczął z uśmiechem opowiadać: – Rajd jak rajd. Wszyscy się nieco ubłócili, a samochody... szkoda gadać. Aż dziw, że jeszcze jakieś błoto zostało na trasie.

– Co ci tak wesoło?

– W przerwie między etapami zauważyłem Filipka z kolegą, chyba kuzynem, bo mignął mi wózek inwalidzki.

– Tym kuzynem?

– Chyba tak. Nie mamy informacji o innych wypadkach w okolicy, a byli podobni do siebie.

– No to możliwe, że to rzeczywiście kuzyn, ale co w tym dziwnego, że byli?

– Filipek wyszukiwał śladów mojego wozu i chyba chciał zrobić odlew bieżnika. Ochrona go pogoniła, bo nie wolno czegoś takiego robić.

– W takim razie mieli szczęście, że skończyło się tylko na tym.

– Tylko tak przypuszczam. Jak chcesz, to jutro możesz pojechać ze mną – dodał, zmieniając temat.

– Chętnie, ale czy nie będę ci przeszkadzać?

– Ty, kochanie, nigdy. Jutro tylko kilka odcinków i dekoracja. Przy okazji możesz się rozejrzeć za Filipkiem.

– Dobry pomysł. Jak go znajdę, to co mam robić z nim i jego kuzynem?

– Porozmawiać. Mogą też poczekać na mnie.

– Mam z nimi stać przy naszym samochodzie?

– Nie. Usiądziesz przy autokarze.

– To się chłopaki ucieszą... o ile ich jutro spotkam – stwierdziłam.

– To na pewno. Odpoczęłaś już?

– Tak, a co?

– Masz ochotę na mały spacer?

– Chętnie, ale na naprawdę mały. Jutro musisz być wypoczęty i skoncentrowany.

– Wystarczy mi pół godziny. Chcę ci coś pokazać – oznajmił Lenny nieco tajemniczym tonem.

– Zaciekawileś mnie. Zaraz będę gotowa.

Paweł podprowadził mnie do wejścia dla odwiedzających muzeum i skierował moją uwagę na tablicę informacyjną.

– No, no, no... – skomentowałam.

– Też byłem zaskoczony.

– Ciocia mogła wybrać lepsze zdjęcie – dodałam, wskazując to, na którym byliśmy w maskach i strojach z epoki w jednej z sal muzeum.

– Rzeczywiście. Zdjęcie z duchem... ciekawe czym.

– Gdzie widzisz ducha?

– Tutaj. – Paweł wskazał prawą dolną szybkę w kredensie.

– Zastanawiam się, czy ciocia o tym wie...

– Nie mam pojęcia, ale wolę nie pytać.

– Ja chyba też. Wracamy?

– Wracamy – przytaknął Lenny i przytuleni ruszyliśmy w stronę domu.

– Chodźcie, dzieci, na kolację – usłyszeliśmy od strony jadalni.

– Zaraz, ciociu, tylko zdejmijmy kurtki – powiedział Paweł i po chwili usiedliśmy przy suto zastawionym stole.

– Piękna tablica informacyjna. Nowa? – zaciekawiałam się.